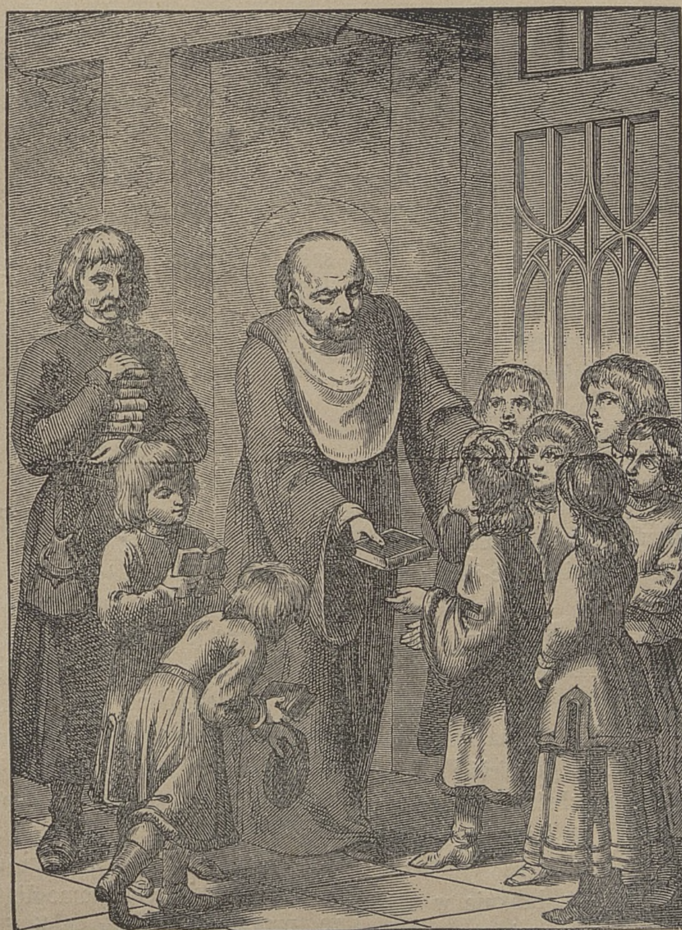


Nr. 42. Poznań, dnia 19 Października 1878. Rok I.

Ś. Jan Kanty, Patron oświaty.

D. 20 Października przypada uroczystość ś. Jana Kantego, Patrona Królestwa Polskiego. Był to, jak wiadomo, profesor przesławnéj akademii Krakowskiéj a przytem miłośnik prawdy, słuszny zatem powód, aby i „Lech“ popierający rozwój oświaty, podał rycinę tego Patrona młodzieży i oświaty.

Jan Kanty urodził się 1412 r. za panowania Władysława Jagiełły w miasteczku Kęty, położoném niedaleko Krakowa, ztąd też jego przydomek z Kęt, albo z łacińska Kanty. Kształcił się młody Jan w wszechnicy jagiellońskiéj, odznaczając się nauką i cnotami. Po uzyskaniu stopnia doktora teologii wstąpił w grono profesorów uniwersytetu. Obok wielu cnót, któremi jaśniał, zdobiło go mianowicie miłosierdzie, ta rzéc można korona cnót wszystkich. Wiele pozostało pięknych przykładów jego dobroczynności i tak np. gdy razu pewnego w nocy Bożego Narodzenia szedł Jan Kanty do kościoła na jutrznię, ujrzał leżącego na śniegu nędzarza, a owo on drży od zimna i prosi miłosierdzia. Świątobliwy kapłan, choć mróz był dotkliwy, nie namyśla się długo, ale daje zwierzchnią szatę proszącemu. Gdy wrócił do domu z kościoła, zobaczył ową szatę w swym pokoju leżącą. Często widząc ubogiego boso, dawał mu własne trzewiki, a sam szedł boso, schylając płaszcz, aby nie było widać braku obuwia.



S. Jan Kanty.
Podług rysunku W. Eljasza.

Z innych cnót tego Świętego wymienić należy jego wielkie zamiłowanie prawdy. Szedł on do Rzymu, gdy go napadli zbójcy. Zabrawszy mu pieniądze, zapytali się, czy nie ma więcéj. Jan Kanty powiedział, że nie ma, atoli po małéj chwili przypomniało mu się, że ma kilka dukatów zaszytych w sukni. Bieży tedy za zbójcami, oskarża się, że skłamał nieumyślnie i oddaje czerwone złote.

Przebaczał też chętnie Jan Kanty urazy, a jeżeli mu się zdało, że kogo obraził, prosił o przebaczenie. Miał on w swojéj celi napisane następne słowa: „Strzeż się bliźniego obrazić, bo niełatwo przebłagać, strzeż się kogo zniesławić, gdyż trudno odwołać.“

Zakończył Jan Kanty świątobliwy żywot 1473 r. Pochowany w kościele ś. Anny. R. 1750 został kanonizowany i nadany Polsce za Patrona. Dotąd przechowują w bibliotece jagiellońskiéj rękopis ś. Jana Kantego, świadczący wymownie o jego nauce i pracy, cela zaś, którą zamieszkiwał za życia. dziś jest kaplicą.

Daj Boże, aby ten ś. Jan Kanty, rozdzielający między dziatwę książeczki, był dla niejednego pobudką, żeby działać podobnie, gdyż zaiste oświaty nam bardzo potrzeba.

O PRZEKŁADZIE „Pana Tadeusza“

na język rosyjski
przez Berga.
Napisał S. T. D.
(Ciąg dalszy.)

Następnych sześć wierszy: „Biada nam zbiegom . . . . .“ tłómacz rozwałkował na ośm:

„O gore, gore nam, czto iz rodnoj ziemli
My gołowy swoi z czużbinu zaniesli
Nawiek pokinuwszi rodimyje porogi . . . .
(O biada, biada nam, żeśmy z rodzinnej ziemi
Głowy nasze na obczyznę zanieśli
Nazawsze porzuciwszy rodzime progi . . .)

Ten trzeci wiersz, którego niema w oryginale, jest tylko peryfrazą poprzedzającej myśli, umieszczony chyba tylko dla swej końcowki *porogi*, rymującej z wyrazem *trewogi* (trwogi), którym się kończy następny wiersz. — Dalej, gdy Mickiewicz mówi: „W każdym sąsiedzie znajdowali wroga,“ — dla tłómacza to za mało dosadne i z własnej fantazji dodaje synonimy: „*szpion, izmiennik, wrag.*“ *) Z takiem *szarżowaniem* obrazów nieraz jeszcze się spotkamy. — Dalsze dwa wiersze oryginału:

„Aż nas objęto w ciasny krąg łańcucha,
I każą oddać conajprędzej ducha,“ . . . .

zupełnie zostały wyrzucone, p. Berg zastąpił je własną kompozycją:

„I zdieś my wsiakomu swojej biedoju czużdy,
I zdieś do naszich ślez Europie mało nużdy;“

co znaczy:

I tu każdemu nasza bieda obojętną,
I tu nasze łzy mało obchodzą Europę.

Lecz co najgorsza to że duch całej tej zwrotki uległ wypaczeniu. — Mickiewicz po wynurzeniu żalu że emigrował jak inni, ubolewa nad smutnem położeniem ojczystej sprawy; ale zwątpienia, ale abdykacji przekonań z powodu cierpień dotkliwych, niezdradza nigdzie. — Tymczasem p. Berg z własnego natchnienia stawia w czwartym wierszu pytanie: „*czto w czużie my naszli?*“ (cożeśmy w obczyznie znaleźli?) na co odpowiada sobie: szpiegów, zdrajców, obojętność . . . .; z czego mimowoli wynika coś nakształt takiej konsekwencji: że gdyby np. zamiast tego emigranci znaleźli byli na wygnaniu przyjaciół, spokój, powodzenie, — to wszystko byłoby najlepiej *dans le meileur des mondes*, ustałby powód żałowania opuszczonego posterunku na własnej ziemi, a w dalszej konsekwencji i samej ojczyzny, bo ibi patria ubi bene. — Taka myśl nietylko nie przebija się nigdzie u Mickiewicza ale jest jemu wprost *przeciwną*.

Niechcę p. Bergowi robić zarzutu rozmyślnego podsuwania Mickiewiczowi uczuć których nigdy niedoznawał, a które mogą wieszcza naszego wobec ziomków tłómacza w niewłaściwem postawić świetle; wolę porachować to na karb zaniedbania się i pośpiechu. — Daje to miarę jak ściśle należy trzymać się tekstu, — jedno zapytanie niewłaściwie, niedbale rzucone cały sens zamącić może; prawda na tem cierpi, ideał poniżony znika.

Potem następuje przerwa; 51 wierszy braknie w tłómaczeniu. — Po kropkach — jak po tropie zwierzę — poznać można ślady cenzury. — Dalszy ciąg rozpoczyna się od wiersza: „Jedna już tylko dziś kraina taka;“ i znowu ta sama dowolność w koloryzowaniu i robieniu dodatków; nietylko niemożna, czytając obydwa teksty, dośledzić paraleli w wątku, ale znajdujemy nawet w tłómaczeniu porównania *lat dziecinnych* do *snu młodej dziewicy* (kak junoj diewy son), którego darmo szukać w oryginale. — Zdawać się może, że jak poprzednio położenie wygnańców — w mniemaniu p. Berga — niebyło dość czarno odmalowane i dla wzmocnienia okropności obrazu, wprowadził szpiegów i zdrajców, tak tutaj znowu tekst oryginału nie był dlań dość kwiecistym w ubarwieniu wspomnień lat dziecinnych i dla tego uważał za stosowne *upiększyć* Mickiewicza!!.

*) szpieg, zdrajca, wróg.

Z następnych piętnastu wierszy, począwszy od „Te kraje radbym myślami powitał“, p. Berg zrobił tylko dziesięć, a użył do tego osobliwszego procederu: początek pierwszego i koniec ostatniego wiersza oddał prawie dosłownie, środek zaś wypchał własnym fabrykatem, w którym tylko tu i ówdzie przebija się prawdziwy motyw oryginału. — Przypomina to trochę fortel tandeciarzy przy zbyciu fałszowanych towarów. — Może najbardziej żałować trzeba owej lipy:

„ . . . . która koroną wspaniałą
Całej wsi dzieciom użyczała cieniu . . . . “

Obrazek ten należy do owych skromniutkich a jednak istnie świetnych perełek, któremi genialny poeta hojnie pod stopy czytającej rzeszy ciska; profan je pomija, ale tłómacz winien je wszystkie pozbierać; one to dają odświętny nastrój wyobraźni: ktoż z dziś dorosłych ludzi niepamięta jak pod podobną lipą wraz z inną dziatwą wyskakiwał, szczebiotał lub marzył? taka lipa — piastunka żyje i sz mi wspomnieniem . . . . . — p. Berg odrzucił *otoczenie* i zbył ją nader prozaiczną wzmianką że *rozrosła* się w ogrodzie („lipy czto w sadu sziroko rozrosłaś“); to też u niego stoi ona samotna, głucha, niepotrzebna nikomu . .

Niemiły zapewne czterowiersz o *Moskalu* pominiętym został.

Ustęp: „I tylko krajów tych obywatele“ w pierwszych sześciu wierszach wiernie przełożony, potem nagle przerwany, zamienia się w końcu w potworny dziwoląg. Gdy duch Mickiewicza tak czule, z taką ewangeliczną prostotą serca, wyzywa pamięć matki, braci, krewnych:

„ . . . . kogo z nich ubyło,
„Jakże tam o nim czule się mówiło!
„Ile pamiątek, jaka żałość długa . . . . . “

tłómacz mówi:

„Gdy przychodziło kogobądź z nich stracić,
„Jakeśmy boleli, jak długo mówiło się
„O nim: *jakby Bóg-wie co się stało!*
(„ . . . . . . kak budto-by Bog znajet czto słucziłoś!“)

Więc gdy się matkę lub brata straci — to nic?! wolę nad tém żadnej nierobić uwagi . . . .

W legendzie o zaklętym chłopcu i żórawiach, bezpośrednio po pierwszym wierszu —

„I dobryje druzja poetu pomogli“
(I dobrzy przyjaciele poecie pomogli)

następuje zaraz:

„Jak te znane z bajki żórawie . . . .“ bez wzmianki *jak i czem* przyjaciele pomogli. — Z tego wnioskować można że przyjaciele poety byli jego kolaboratorami; tym czasem w oryginale wyraźnie powiedziano: *pomogli rozmowie* i *do pieśni rzucali mi* (może ze wspomnień) *słowo po słowie.*

I poetyczna strona tej prześlicznej legendy znacznie ucierpiała; — porównajmy obydwa teksty. W oryginale czytamy:

„Jak bajeczne żórawie, na dzikim ostrowie,
„Nad zaklętym pałacem przelatując wiosną
„I słysząc zaklętego chłopca skargę głośną,
„Każdy ptak chłopcu jedno pióro rzucił:
„On zrobił skrzydła i do swoich wrócił.

Jest to obraz pełny, malowniczy, prawidłowo nakreślony: widzimy *co* się stało, *gdzie* i *dla czego*. — Przekład dosłownie po polsku oddany, brzmi:

Jak te z bajki znane żórawie,
Co raz nad młodzieńcem zaklętym leciały
I pióra jemu biedakowi narzucały:
On skrzydła podniósł — i chyżo odleciał
Do swych stron rodzinnych, w ojczystą dzielnicę!

Tu znowu *otoczenie* obrazu pominięte: *pałac zaklęty na dzikim ostrowie* — będący niezbędnem tłem legendy, oraz alegorją wygnania i — *skargi* chłopięcia, te niby żałośne pienia poety za daleką ojczyzną. Taki bezbarwny obraz znika z przed oczu wyobraźni, jak owa *lipa* stała się obojętną gdy tłómacz ujął jej otoczenie z dziatwy co pod swym cieniem tuliła.

Ustęp w którym wieszcz nasz wyraża życzenie aby pieśni jego zbłądziły kiedyś pod wiejskie strzechy, tłómacz zaczął od wykrzyknika „O bogi!" który swą mitologiczną napuszonością psuje niezrównaną prostotę oryginału. — Środek nieźle przełożony. — W przedostatnim wierszu wsunięty został zbyteczny epitet w usta poety: „proste i *biedne*;" Mickiewicz mówi tylko o swych pieśniach że są *proste*, a wiemy że prostota niewyłącza wielkości. — Autor „Improwizacji do Boga" nigdy zapewne nie miał siebie za biednego, za ubogiego duchem. Ubolewać także można nad ostatniem rymem tej strofy:

„I budiet moj rozkaz im także *intieresien*."

Co znaczy:

I będzie moja powieść dla nich (tj. dla dziewcząt) także interesującą (zajmującą). Wiem że każdy język obfituje mniej — więcej w makaronizmy; ale w poważnej poezyi a szczególnie w rymie, nigdy nie mogą być użyte. — Ten fatalny *intieresien* wszystko popsuł; wiersz nie tylko stracił na powadze i rzewności, ale trąci nawet pewną trywialnością. — Henryk Heine, do ostatniego rymu dobierał zwykle najdobitniejszych wyrazów; w nich nieraz myśl całego ustępu streszczał. — Jest to może sekret jędrności jego orzeczeń.

Po kilku wierszach wiernie przełożonych, znowu spotyka się czytelnik w ostatnim ustępie z tem niczem niewytłómaczonem przeinaczaniem, wykrzywianiem właściwej myśli oryginału; czytamy w nim wyraźnie:

„I zazdrościła *młodzież* wieszczów sławie;"

w tłómaczeniu co innego:

„I kak *zawidował ja* sławie tiech piewcow" —
(I jak *zazdrościłem (ja)* sławie tych pieśniarzy). —

Dla czego p. Bergowi chodzi o to aby Mickiewicza zrobić zazdrosnym? tego on sam zapewne niewie; ot, tak sobie — wyrwało się. — Potem zamiast dwóch, następuje pięć wierszy samorodnego utworu tłómacza — nic nieorzeczających, wodnistych, ni w pięć — ni w dziewięć; dopiero dwa ostatnie dobrze przełożone. —

Cały ten *wstęp* smutne robi wrażenie; tak niedbale tłómaczyć — nie warto, tak przekręcać — nie godzi się; a jednak wszędzie widoczna wielka łatwość władania językiem. — Słusznie więc wnioskować można że cały *wstęp* należy do owych 1000 wierszy, które w ciągu trzech dni były napisane i *nie zadały* tłómaczowi *wielkiego trudu*. —

(Ciąg dalszy nastąpi.)

DWA ŚLUBY.

Szkic

przez

PAULINĘ Z L. WILKOŃSKĄ.

(Ciąg dalszy.)

III.

..... młodość się uśmiecha, —
Ale burza na niebie, w sercu żałość cicha.

Jak Damoklesa oręż zawieszony nad głową,
Truje wiosny poranek.

J. I. Kraszewski.

Poranek był śliczny nazajutrz, i na promenadzie, i przy źródle liczni mrówili się przechodnie: chorzy i niechorzy. Muzyka na trybunie brzmiała — i gwar i poszmer o cudnie zielone odbijał się lipy, akacye i kasztany.

Trzymając się pod ręce nadeszli także Michał z Leonem. Pierwszy od razu dostrzegł Ignasia przy niezabudkowych pannach Rumowskich.

Wtém, od strony źródła, nadchodziła wdzięczna postać w popielatéj sukni z takiemże okryciem, z przystrojem i frędzlą czarną, w kapelusiku białym z czarną koronką. Przy niéj szła w białych haftach, pani Komelska, świeża i elegancka — podając rękę poważnéj ciotce. Po drugiéj stronie pani Michaliny jawił się pan Poraj w szaraczkowym paltocie i słomkowym kapeluszu — prawił coś tam, giestykulował, a Michalina ze skłonioną nieco głową, patrząc na chodnik zwirowy, słuchała z widoczném zajęciem. Chodnik był co tylko skropiony — by zapobiedz kurzowi — to też podjęła nieco suknię fałdzistą i długą.

— Jakaż drobna nóżka! — wymówił Michał półgłośno.

Imienniczkę jego doleciał luby zadźwięk ojczystéj mowy — bo jakaż to w nim cudna, anielska wieje harmonija! Zwłaszcza też w obczyznie — że i od razu z łatwością każde pochwyci go ucho. Michalina ciemne podniosła oczy — spotkała wejrzenie Leona, ukłon — i niby jęk głęboki przycichł na jéj ustach: pobladła śmiertelnie. W chwili potém podawano sobie, że jedna z pań nagle zasłabła.

— Otóż widzisz — wymówił Leon głosem wzruszonym, mroczny i blady, uprowadzając Michała gorączkowo, w oddaleńszą, cienistą ulicę — nie powinienem tutaj i jednéj chwili dłużéj pozostać.

— Powoli, bratku, powoli! Co nagle to po djable: dowodem tego najlepszym twój przyspieszony *ożenek*.

— Zemdlała!

— Zemdlała, czyli tylko zasłabła, przy pierwszém niespodzianém spotkaniu. Przy drugiem pobladnie jeszcze; przy trzeciem będzie już obojętną. To jest przebieg rzeczy konieczny: lody przełamane zostały. Chódź! przejdziemy się górą, potém wrócimy znowu na promenadę i zobaczymy czyli chodzi znowu.

— Nie chcę jéj więcéj kłuć w oczy.

— To przetrawić się musi: co się stało, odstać się nie może, — więc trzeba wypić piwko, jakiego się nawarzyło.

— Mam na sumieniu tę kobietę, ona jest nieszczęśliwą: zwichnąłem całą jéj przyszłość. Przypuszczałem, nic o niéj nie wiedząc, że zapomniała o mnie, że za mną nie bolała wcale, że mną pogardza.... że za mąż poszła.... że jest szczęśliwą.... a przekonałem się inaczéj!

— No, no! Bardzo właściwe są wyrzuty, które sobie czynisz, przeto, tém większą jest potrzeba, ażeby rzecz tę co wcześniéj złagodzić.

— Jakąż ona o mnie mieć musi opinją!

— Nie najkorzystniejszą zapewne. Ale stało się, powtarzam: przeszłość jest niepowrotna, a teraz wypada o przyszłości myśleć.

I rozmawiając daléj w ten sposób, weszli na górę, zkąd prześliczny otwierał się widok: mgła, niby lekką gazą zieloniuteńkie powlokła doliny; wioski okoliczne barwnie jaśniały, w blasku promieni porannego słońca; daléj ciemne pociągnęły lasy — i sinawe gór dalszych pasmo. Niebo było bezchmurne; powietrze uroczéj świeżości przewiane wonią. Przyjaciele wszelako nie zważali na te czary przyrody: Michał prawił, przekonywał; Leon słuchał i dozwalał przekonywać się.

Gdy wrócili na promenadę, widzieli siedzącą panią Michalinę na ławce, obok niéj ciotkę i siostrę a przed niemi stał Poraj, i coś tam opowiadał. Michalina była blada, ale pogodnego oblicza. Leon tylko jedno ukośne na nią rzucił spojrzenie.

O parę kroków daléj spotkali Adama, w nader gustownym i starannym stroju porankowym.

Podali sobie ręce — i nawrócił z nimi.

— Nasza piękna *gwiaździsta* zasłabła — były pierwsze jego wyrazy.

— Kiedy? — zapytał Michał, niby nie wiedząc o niczem.

— Przed półgodziną.

— Jakżeż to było?

— Widziałem tylko, jak ją pan Poraj ku ławce poprowadził: była bledziutka, jak lilija, pochylona, i dłonią przyciskała serce. Jakieś niemki poczciwe przydążyły z wodą kolońską; jakiś jegomość przyniósł szklankę świeżéj wody z *kurhaus'u*, — za co im podziękowała z nieoddanym wdziękiem i ściśnieniem ręki. Słabość minęła, ale dotąd jeszcze odpoczywa na ławce.

— Dla czegożeś ty ze swoją nie pospieszył usługą? — zauważył Michał, była śliczna po temu pora.

— Uprzedzili mnie. Chciałem przywołać doktora, lecz pani Komelska, dziękując uprzejmie, oświadczyła: że bynajmniéj nie jest potrzebnym; że to jest lekka, chwilowa słabość, może w skutek wczorajszego upału, — więc skłoniłem się i odszedłem.

— A pan Poraj?

— Pan Poraj miał minę wielce troskliwego. Chodźcie, nawróćmy!

— Czy znowu chcesz obok *pewnéj przedefilować* ławki?

— Nie inaczéj.

— My nie pójdziemy.

Adam pobiegł. Ale właśnie, gdy przy końcu promenady nawrócili, spotkali panią Michalinę z jéj towarzystwem. Mówiła coś, gdy się mijali i niby lekko na ich widok zapłonęła.

— Otoż i wszystko na dobrym jest torze — wymówił Michał zcicha do przyjaciela — drugiéj sceny zemdlenia już pewnie nie będzie. Widzę i przekonywam się coraz więcéj, że moja pani drużka bardzo rozsądną jest istotą.

W téj chwili dogonił ich Adam.

— A co? — zwrócił się Michał ku niemu.

— Już sobie poszli do domu: pod *Leuchtende Stern.*

— Prawdziwie *Leuchtende Stern!* — zaśmiał się Michał. — Czy nie wiesz kiedy Komelski powróci?

— Dziś wieczór.

Chódź do nas na kawę.

Idąc z promenady pod *Goldene Krone*, potrzeba było obok *Leuchtende Stern* przechodzić; był to ładny dom, obszerny, w okoleniu kwiatów, trawników, krzewów, a z boku zdobiła go grupa drzew starych, cienistych, pod któremi umieszczono stolik i krzeseł kilkanaście.

Przez otwarte okno, na dole, dostrzegli popielatą sukienkę.

Z okien ich pokoi, na piętrze, pod *Goldene Krone*, można było dokładnie dom ten i ogród widzieć — a mianowicie też siedzenia pod drzewami. To też Adam usiadł przy otwartém oknie, zanim kawę podano — z czego Michał ubawił się szczerze. Leon zaś w kwaśnym był humorze, i na ból głowy narzekał. Głowa, bo i najczęściéj za wszystko odpowiadać musi, i wszystko na nią walą. Dobrze jéj tak — bo dla czegoż i nie lepiéj całą kieruje machiną? Przecież od tego jest głową.

Przed *Leuchtende Stern* zebrała się orkiestra — i zabrzmiał marsz z *Normy.*

— Witają pana Poraja — ozwał się Michał.

Leon przystąpił do okna, lecz cofnął się i zaraz: pod wspomnianą drzew grupą ujrzał składną postać popielatą, w białym czepeczku na głowie, i tuż obok niéj brodatego Poraja.

Właśnie też *Fritzl* przyniósł koszyczek z różnem pieczywem.

Adam skinął na chłopca, dał mu talara, by go zaniósł muzykusom, i zażądał, ażeby zagrali mazura i: *Pamiętasz, mówił rotmistrz do żołnierza.*

Leon uśmiechnął się przymusowo, Michał zawołał:

— *Bravissimo!*

Fritzl z otrzymanym poskoczył rozkazem.

— Oszczędź sobie trudu konkurencyi, Adasiu — ozwał się Michał — bo twoje zabiegi skutku nie odniosą: pan Poraj stoi gdyby mur. Chodź raczéj na kawę.

— To też właśnie na pożegnanie chwilowym marzeniom, kazałem zagrać *Pamiętasz?* — A więc: Bądź zdrowa! *Farewell! Adieu!* — machnął ręką, usiadł przy stoliku i podjął filiżankę.

Właśnie też poza oknami piosenka starego rotmistrza zadźwięknęła.

Po śniadaniu spojrzał Michał porozumiawczo na Leona. Ten powstał, zapalił cygaro, i wyszedł.

W nieobecności jego opowiedział Michał Adamowi stosunek Leona do pani pod *gwiazdą.* Adam zdumiał — sądził z początku, że to jest mistyfikacya jakaś: pojąć nie mógł dziwacznego zaślepienia Leona — i jak to ludzie własne szczęście swoje nieraz poniewierają.

— Zaledwie téj powieści uwierzyć mogę! — zawołał raz jeszcze.

— Daję ci nawet pełnomocnictwo powiadomienia o téj okoliczności, goszczące tutaj towarzystwo polskie — dodał Michał — ażeby wszelka tajemniczość pod tym względem ustała, a interesowane osoby nie doznawały wynikających ztąd, nieodzownych przykrości.

— Powiem tę nowinę Ignasiowi — zaśmiał się Adam — on z nią poskoczy do pani Rumowskiéj, a w przeciągu dwóch godzin, już o niéj wszyscy będą wiedzieli. Nie pojmuję jednakżę, nie pojmuję....

Leon wszedł do pokoju.

Towarzystwo z pod *Leuchtende Stern* ukazało się na poobiednéj promenadzie — lecz na krótko tylko. Następnie widziano jak trzy panie powozem, a pan Poraj jednokonnym kabryoletem wyjeżdżali z K. Michał domyślił się od razu, że jadą na spotkanie Komelskiego — i odgadł, bo wieczorem ukazał się ten ostatni na wieczerzy w *Kurhaus'ie*.

Pan Michał Wrotniewicz znał się już z panem Komelskim, to téż następnie wyszedł z nim pospołu, i przemówiwszy, że ma interes do niego, uprowadził go na promenadę — pustą na teraz, jakkolwiek że wieczór był prześliczny.

Michał zaczął z tém od razu: że Leon Ostromski od dni dwóch znajduje się w K.

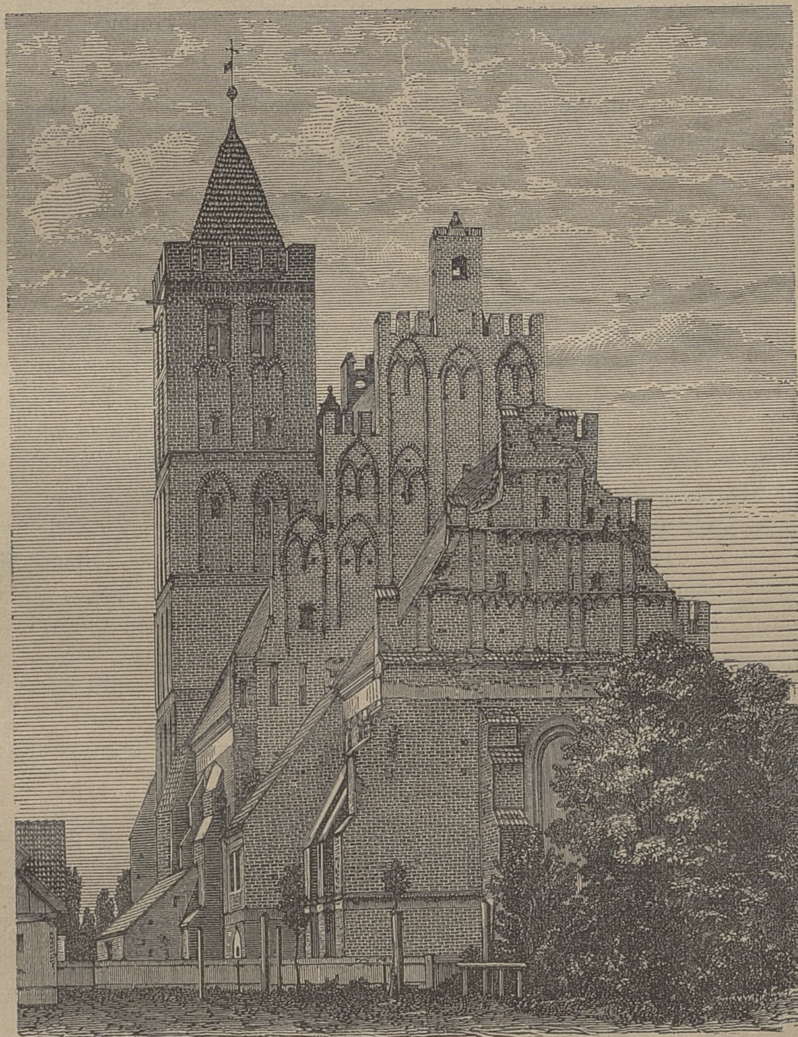
— Wiem o tém — odrzekł sucho Komelski,,. i z pewnym wyrazem niechęci.

Poczem Michał wyłożył mu to wszystko, co już Leonowi był przedstawił.

Komelski odpowiadał mu z początku z pewnym lakonizmem — powoli wszelako począł ulegać jego dowodzeniom logicznym — a w końcu już i całkiem słuszność twierdzeń jego uznał.

Michał Wrotniewicz miał dar wymowy, bo we wszystkiem ciepło serca wiało i przekonanie szczere; chętnie usłużył i poczciwie — i z rozkoszą serca a zręcznie, lubił wszędzie zaprowadzać harmoniją.

Po całogodzinnéj rozprawie, przyrzekł Komelski, że z paniami swojemi o tém wszystkiem pomówi, że im rzecz całą przełoży — i że, rozważywszy należycie to szczegółowe położenie pani Michaliny i pana Ostromskiego, zgadza się także na dowodzenie pana Michała, ażeby pan Leon był u nich — u państwa Komelskich — z wizytą.



Kościół Farny w Nowem.

— Pani Ostromska, matka, bywa u rodziców żony mojéj — zauważył — i my wszyscy w Sękowie u niéj bywamy. Nadto spotykania się w sąsiedztwie byłyby nieuniknione. Smutny to stosunek, dotkliwy, a nawet i bolesny, bo pani Michalina czuje dotąd ranę, która jéj z bezprzykładną lekkomyślnością zadaną została: toćże czyn ten nieszczęśliwy — wymówił głosem stłumionym zwichnął całą jéj przyszłość i życie niczem nienagrodzoną zaprawił goryczą.

— Uznaje to dziś Leon aż nadto dobrze i głęboko — odrzekł Michał. — Był to szał nieszczęsny, który go opętał, a wiemy że szał taki, to niby opilstwo, odbierające wszelki zmysł zdrowy. Młodzieńcza namiętność, niezastanowienie się nad kim co czyni, obawa przed matką, rozpieszczenie jedynaka obok braku odwagi, by jéj szczerą wypowiedzieć prawdę, — spowodowały to złe niecofnione. Dziś wszelako staraniem wszystkich być powinno, ażeby ten smutny i gorżki stosunek złagodzić: by mu odjąć kolce raniące i nawzajem sobie przyszłość pogodniejszą zgotować.

— Pan szczerze radzisz i życzliwie, uznaję to z wdzięcznością — i Komelski uścisnął mu rękę.

— Oboje są jeszcze tak młodzi, po cóż im sobie życie zatruwać? Zwłaszcza téż pani Michalina, która stała się ofiarą najniewinniejszą tego spotęgowanego szaleństwa i nieoględności.

— Pani Ostromska cierpiała bardzo. Kocha ona panią Michalinę, jakoby własną córkę. Cios zadany jéj przez syna był nad wszelki wyraz bolesny. Nadto i teść mój chciał z nią wszelkie dawniejsze przyjazne zerwać stosunki; zarzekł się, że w domu jéj nie postoi, w swoim jéj nie przyjmie, i wszędzie spotkania się z nią troskliwie unikać będzie. Przełamała to wszelako niby wstępnym bojem: przybyła do państwa Rowickich, rzuciła im się ze łzami w objęcie; Michalinę z głośnym objęła płaczem, tuliła ją, pieściła.... i stosunki przywiązania i przyjaźni odtąd jeszcze utrwaliły się więcéj. Któżby więc dzisiaj śmiał targnąć się na nie? To wszystko skłania mnie przeto, bym gorliwie wniosek pana poparł: sposobność tutaj nastręczyła się wielce w porę i bardzo dogodnie.

— A wszakżeż i rodzice nie są bez zarzutu — wtrącił Wrotniewicz — że to małżeństwo tak nieoględnie zawartém zostało: że nikt głębiéj nie patrzał i uważniéj nie badał.

— Tak, prawda! Wszyscy w dziwny sposób kataraktą obdarzeni byli. Pani Ostromska prawiła o *nieśmiałości chłopca,* i przypuszczała, że rzecz cała utrze się niebawem ku zupełnemu zadowoleniu wszystkich. Pan Rowicki lepszy rólnik, aniżeli spostrzegacz, polegał na słowach matki jedynaka; tak samo i pani Rowicka, poczciwa, dobra osoba, ale bardzo krótko widząca.

— A panna? — zapytał Michał półgłosem.

— Panna kochała — odrzekł Komelski ciszéj jeszcze — kochała, marzyła, idealizowała sobie narzeczonego i wierzyła z świętą wiarą we wszystko, co jéj mówiono. Było to dziecko; wiejska dzieweczka, chwytająca jedynie li poetyczną stronę życia. Dziś, biedna, dojrzała ponad wiek swój, i przetrawiła to wszystko w bolesnym zawodzie swoim.

— Czemuż pani Ostromska nie została o rok późniéj swatką syna, a byłaby z pewnością szczęśliwe skojarzyła małżeństwo. Naprawdę, że najwyższą umiejętnością życia, jest czynienie wszystkiego we właściwą porę: nie zawcześnie i nie zapóźno.

— Och, zapewne!

Michał odprowadził Komelskiego do *Leuchtende Stern* — i pożegnali się wyrazem: do widzenia się jutro.

Tego samego wieczora, w pokoju pani Komelskiéj, półgłosem prowadzona rozmowa w zebraném tamże kółku rodzinném pociągnęła się długo. Było można posłyszeć i płacz żałosny — i stłumionym głosem, bólem wyrwane z piersi niewieściéj wyrazy:

— Jam go kochała! Bardzom go kochała!.... Całe w nim szczęście widziałam. Zabił mi młodość moję, przeszłość bolesném, gorzkiém przysłonił wspomnieniem, a zniszczył przyszłość całą!

Nastąpiły przemówienia łagodne dwóch naprzemian głosów kobiecych: w jednym także łzy odbrzmiewały — drugi odzywał się poważniéj. Daléj posłyszano znowu głos męzki coś tam przekonywająco mówiący. Potém nastąpiła rozmowa więcéj spokojna, więcéj ogólna — aż wreszcie wyrzeczono: *dobra noc.*

W pokoju wszelako pani Michaliny, pod godłem jaśniejącém w bladawym promieniu księżyca, — długo jeszcze światło poza zielonemi biło storami. A ktoby w głąb cichéj komnaty był zajrzał, byłby zobaczył białą postać klęczącą, ze złożonemi modlitewnie dłońmi, z wzniesionym wzrokiem łzawym, ukorzoną — ale niezłamaną: bo w jéj ciemnéj źrenicy i wśród łez, jaśniał spokój duszy i pociecha wiary.

Nazajutrz, na promenadzie, niebawem zetknęli się panowie Komelski i Michał — znać jeden drugiego szukał. Komelski oznajmił przyjacielowi Leona: że po przetrwaniu bolesnéj chwili, w skutek uwag rozsądnéj ciotki i przywiązanéj siostry, pani Michalina zezwoliła na wizytę pana Ostromskiego. Zastrzegła sobie wszelako, by go wprzódy jeszcze pare razy na promenadzie spotkała — i niejako do widoku jego nawykła; by przyszedł nie sam — i *nigdy* żadnych *alluzyj* do tego co minęło nie czynił.

Michał przyrzekł wszystko w imieniu przyjaciela — i zadowolony nad wyraz pobiegł powiadomić Leona.

— Więc idziemy dziś pod *gwiazdę błyszczącą,* przed godziną promenadową — ozwał się do niego dnia trzeciego potém, gdy po obiedzie wychodzili z *Kurhaus'u.* Spotykaliście się po owém pierwszém widzeniu codziennie po razy parę, i wszystko odbyło się przynależnie. Całe zebranie tutejsze zna już wasz stosunek wzajemny: lody przełamane zostały i rzecz utorowała się tak *jakoś* przyzwoicie.

— Pójdę.... uznaję sam potrzebę tego. Przykro to będzie, ale cóż począć?

— Uprzedziłem Komelskiego, że przyjdziemy.

Pod drzewami, w ogródku, bielała sukienka Michaliny, kręciła się różowo przybrana pani Stefanija Komelska, a więcéj na widoku siedziała poważnéj postaci ciotka, z pończoszką w ręku. Komelski przechadzał się z cygarem — a niebawem nadszedł także ich brodaty sąsiad i przyjaciel,

Z okien, z pod *złotéj Korony* uważano to wszystko dokładnie, i zanim czwarta godzina wybiła, przywdziali nasi młodzi panowie jasne rękawiczki, pochwycili kapelusze słomkowe, i udali się w zamierzone odwiedziny.

— Pan Wrotniewicz, pan Ostromski — przedstawił ich Komelski.

Michalina podniosła się zlekka, a była bardzo blada.

— Pan Poraj — dodał gospodarz, po czém wszyscy usiedli.

Zaczęła się gawędka o wodach, o liczbie goszczących w K., o nowoprzybyłych, — a potém i więcéj zajmujący obrot wzięła.

Michalina robotą zajęta, raz po raz wszelako słów parę do ogólnéj wmięszała rozmowy, bez wymuszenia spokojna, lubo i z pewną powagą zarazem.

I Leon usiłował być takim, ale ztém wszystkiem był wszelako i nieco *ambarasowany.*

Wizyta nie potrwała długo, bo gdy dam kilka nadeszło, ustąpili im panowie miejsca.

Odtąd i na promenadzie przyłączył się Leon z Michałem niekiedy do pani Komelskiéj i jéj towarzystwa; z Komelskim przestawali dużo — i niezadługo wszystko na bardzo przyzwoitéj stopie towarzyskiéj stanęło.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Kościół Farny w Nowem.

Miasto Nowe leży niedaleko Wisły w powiecie świeckim w Prusach Zachodnich w dawniejszém województwie pomorskiém. Ozdobą tego miasta jest kościół farny katolicki, którego rycinę podajemy.

Jak wszystkie budowle z czasów krzyżackich odznacza się i ta świątynia ogromem i jakąś posępną powagą. Zdaje się, że wzniesiono ją około 1340 r. Najwięcéj starożytnym jest szczyt, którego formy pokazują powinowactwo z stylem romańskim. Nawa kościelna jest 58 stóp długa a 56 szeroka.

Wewnątrz świątyni nie ma nic takiego, coby się odznaczało starożytnością prócz kamiennéj kropielnicy. Wszelkie inne ozdoby pochodzą z nowszych czasów. Patronem kościoła jest ś. Mateusz.

Nowe było dawniéj bardzo warowne miejsce, a dla Krzyżaków nader ważnym punktem, łączącym Pomorze z ziemiami pruskiemi. Dziś nie ma wiele o Nowem do powiedzenia, chyba to, że aczkolwiek Niemcami i Żydami przepełnione, nie należy jeszcze do ostatnich miast pod względem polskości w Prusach Zachodnich.

Słowiańskie Listy z Czech.

Literatura kalendarzowa. Czeskie kalendarze. Konkurs dramatyczny p. Naprstka. „Akademicke Listy." Ze słowiańskiéj literatury. Nowa opera czeska. „Tajemství."

Zbliżył się znowu czas, gdy na wszystkich rogach ulic pragskich znajdujemy pstre plakaty i afisze. oznajmujące nowo wyszłe czeskie kalendarze na r. 1879. Wielkiemi literami we wszystkich farbach czytamy: „Slovanský kalendář" „Vlast" „Pokrok" „Pečírkův kalendář" „Koleda" „Národní kalendář" Česko-moravská Pokladnice" i t. d.

Literatura kalendarzowa czeska ma również jak polska swe pewne znaczenie. Wiadomo, że żadna książka oprócz książek do nabożeństwa nie dochodzi w masie ludu tak olbrzymiego rozszerzenia jak kalendarz. Jest wielu takich ludzi, którzy, chociaż cały rok żadnej książki nie kupują, przecież bez kalendarza obyć się nie mogą. Dla tego nie jest rzeczą obojętną, jaka bywa treść tych kalendarzy i jeźli zważymy, że są nieraz jedyném źródłem duchowéj rozrywki dla wielu ludzi, tem mniéj można zaprzeczyć, że kalendarz ma i ze względu na oświatę wielki wpływ i znaczenie. Dobry kalendarz, którego treść jest sumiennie i w duchu narodowym zestawiona, zasługuje na równie baczną uwagę, jak każda inna książka. Naturalnie że wyłączyć trzeba takie kalendarze, które wydane są wyłącznie w celu korzyści dla nakładcy. I takich jest więcéj jak dosyć.

Można powiedzieć, że czeska kalendarzowa literatura wydała istotnie piękne i polecenia godne wydawnictwa. Tak na przykład „Posel z Prahy" i „Kalendář koruny české" — oba już nie wychodzące — były wzorowe ze względu na treść i wybór rycin. Oprócz dobrych oryginalnych prac czeskich zawierały liczne przekłady z języków słowiańskiego świata. Do najwięcéj rozszerzonych kalendarzy z dawnéj doby należy tak zwany „Pečírkův kalendář," który chociaż założyciel już dawno umarł, dotąd wychodzi i dobrze się wypłaca.

Dziś wzmiankuję jeszcze o jednym kalendarzu czeskim. Jest to „Velký kalendář slovanský" wydawany pod redakcyą znanego powieściopisarza Arbesa. Treść, zestawiona bardzo sumiennie, zawiera powieści oryginalne, artykuły zabawne i naukowe, życiorysy zasłużonych mężów czeskich i wiele rycin, pomiędzy którémi znajdujemy piękne portrety poety Vrchlickiego, historyopisarzów ministra Jirečka i Emlera i t. d. —

Konkurs dramatyczny pana Naprstka, jak już w jednym liście słowiańskim zawiadomiłem, jest nowym dokazem, że na płodność w literaturze czeskiéj nie można narzekać. Zawsze ruch ożywia życie literackie, kiedykolwiek się objawia niejaka zachęta. Otóż na konkurs pana Naprstka przysłało 28 pisarzy komedye konkursowe. Wkrótce zawiadomię, jak będzie literatura z tych prac zbogacona. —

Nie doniosłem jeszcze o wychodzącém w Pradze czasopiśmie studenckiem „Akademické Listy" która wydawa czeska młodzież akademicka. Celem tego czasopisma jest popierać sprawy czeskich akademików. W tym względzie podaje obfity materyał. Prócz tego jest tam wiele zajmującego dla poznania czeskich towarzystw studenckich i ich chwalebnéj działalności.

Byłoby do życzenia, aby czeska młodzież akademicka ze słowiańską a mianowicie z polską w przyjacielski związek wstąpiła. Jeden z członków redakcyi „Akad. Listów', zapewniał mnie, że redakcya chętnie by w swoim czasopiśmie drukowała wiadomości o życiu i towarzystwach studenckich pobratymczych Polaków, jeśliby tylko kto takie przysyłał. *)

Dla miłośników muzyki narodowéj notujemy dziś dwie zajmujące publikacye słowiańskie. Pierwszą z nich jest w Zagrzebiu wydawany „Zbiór południowo-słowiańskich pieśni z melodyami" przez Franciszka Kuchacza, znanego na polu kompozytorskiém. Pan Kuhacz, zbierał po Chorwacyi, Slawonii, Hercegowinie, Bośni, Bulgaryi i Serbii te perły narodowéj muzyki i udało się mu takich niemniej jak 2500 nazbierać. Pierwsze dwa zeszyty tego wielce ważnego wydawnictwa już opuściły prasę. Sejm Chorwacki udzielił na wydanie tych pieśni 2000 zł. r., co jest najlepszym dowodem, jak się w Chorwacyi ojczystą literaturę i sztukę wspiera. —

Do tego samego zakresu należy w tych dniach w Budyszynie, w Serbskich Łużycach wydany „Towaršny spěwnik za srbski lud" przez K. A. Fiedlera nakładem Macicy Serbskiej. Jest to ładny zbiór 163 pieśni z melodyami, które śpiewa lud słowiański w Łużycy. *) Oprócz narodowych pieśni znajdują się tam też niektóre pieśni patryotyczne różnych poetów. W szeregu tych są i niektóre czeskie, jako „Kde domów mój (Hdźe domóv mój) Cieszmy się nadzieją i t. d.

Nowa czeska opera „Tajemství" B. Smetany, do której napisała wam dobrze już znana Eliszka Krasnohorska piękne libretto, doznała na czeskim teatrze wielkiego powodzenia.

Jest to nowa perła czeskiéj muzyki. O genialnym kompozytorze notuję tylko to, że jest dla czeskiéj muzyki i czeskiéj publiczności tém, czem dla Polaków nieśmiertelny Moniuszko. Tylko ta jest różnica, że Czesi znają i cenią płody Moniuszki — a Polacy o znakomitych operach czeskich nic wiedzieć nie chcą.

Edward Jelinek.

*) Redakcya znajduje się w Pradze, Perštyn. No. 13.

Nowa Powieść Kraszewskiego.

Józef Ignacy Kraszewski wzbogacił literaturę naszę nową dwutomową powieścią historyczną, z tego cyklu siódmą z rzędu, pod tytułem:

„Historja prawdziwa
o Petrku Właście, Palatynie,
którego zwano Duninem."

Jest to znany protoplasta, bez przydomku i z przydomkami Karwickich, Brzezińskich, Wąsowiczów, Borkowskich itd. licznie rozgałęzionego w Polsce pokolenia; podług Długosza Duńczyk rodem, sądząc zaś z broszury p. Mosbacha — potomek panów na zamku Dohna, którego ruiny wznoszące się nad miasteczkiem tegoż miana, na wyniosłéj górze między Drezném i Wezensteinem i dziś wywołują zamierzchłych czasów wspomnienia. – Mniejsza o to kto ma rację — czy stary Długosz, czy młody Mosbach; są nawet tacy co utrzymują że Piotr Włast jest fikcją i nic więcej, — niech i tak będzie . . . . . ; dla powieści wystarcza legenda. — To jednak pewna że nie młody wończas i zasłużony weteran pióra Sobieszczański zgodnie z podaniem kronikarzy, udowodnił istnienie siedmdziesięciu siedmiu kościołów, przez tegoż Właста zbudowanych w Polsce; a kościół w Strzelnie posiada do téj pory tablicę erekcyjną z owych czasów, która jest nawiasowo mówiąc, najstarszym archeologicznym zabytkiem tego rodzaju w całej Słowiańszczyznie.

Piotr Właст, palatyn na Ślązku, ulubieniec Bolesława Krzywoustego, po śmierci króla w równem zostawał zachowaniu u spadkobierców jego władzy. — Gdy jednak razu pewnego spoczywając na łowach, Władysław Ks. Krakowski, żartem dotknął sławy żony Właста, a ten, oddając dobre za nadobne, napomknął o stosunku małżonki księcia z dworzaninem Dobieszem, — księżna Agnieszka, mściwa niemkini, dowiedziawszy się o tem taką nieubłaganą zapałała nienawiścią przeciw Włastowi, iż za jej podżeganiem, kazał mu Władysław urwać język i oczy wyłupać. Podanie opiewa że w nagrodę wielkiej gorliwości w szerzeniu chwały Bożéj, otrzymał z nieba łaskę uzdrowienia, tak iż póżniéj wzrok i mowę odzyskał.

Oto kanwa na której Józef Ignacy nałożył złociste barwy swego talentu.

Powieść rozpoczyna się w pozgonnych czasach Bolesława Krzywoustego — W gospodzie na gościńcu Wrocławskim, zapoznaje nas autor ze zbłąkanym na łowach Markiem Jaksą i z nim dostajemy się do Wrocławia na dwór Petrka Właста, gdzie słynna z piękności córka jego Błogosława oczarowuje wdziękami swemi młodzień-

*) Do nabycia w księgarni J. Chociszewskiego w Poznaniu.

ca. — Wysłany przez pokrewnego sobie biskupa Janika na dwór książęcy, gdzie się wonczas od niemców roiło, gdzie dworem i państwem rządził Dobiesz czyli Dobek, faworyt Agnieszki, i gdzie bez ogródki rpzprawiano o zamiarze wygnania z dzielnic młodszych książęcych braci; zrażony ostatecznie chwiejnością samegoż księcia, — Jaksa powraca wkrótce do Wrocławia, wioząc z sobą wezwanie od Wszebora palatyna Sandomierskiego do Piotra Własta, aby ten, jako dawny druh ojca, zjechał na dwór krakowski i tam z całą uroczystością wystawił księciu smutne następstwa domowej wojny i karogodność obalania woli swego królewskiego rodzica. Zjawienie się Własta na dworze krakowskim nie wywiera żadnego wpływu, tem bardziej iż w doradcy księżny, w Dobku, znajduje zawziętego osobistego wroga z powodu odmówionej mu w swoim czasie ręki Błogosławy. — Nie więcej pomogła groźna postawa całej starszyzny krajowej, która z duchowieństwem i arcybiskupem gnieźnieńskim na czele stawiła się przed Władysławem i upomniała go że „Bóg wiarołomnych karze.“ Podszepty Dobka wyrabiają tembardziej w księżnie przekonanie, że palatyn wrocławski knuje zdradę i kraj cały przeciw panu swemu podburza; zawsze chwiejny, pomny na dawne zasługi, Władysław niewie co sądzić o Właście.

Tak więc chciwość zaborcza księżny i skojarzone pragnienie osobistej zemsty kobiety i jej zausznika, są czynnikami ktorych objawy wypełniają istotę powieści.

Agnieszka wymogła od męża wezwanie na pomoc Rusiuów |i pogańskich Połowców, którzy swawolą i niszczeniem kraju, ogólne przeciw księciu Krakowskiemu wywołują oburzenie. — Przed rozpoczęciem wojennych kroków Władysław pragnie osobiście przekonać się o zamiarach Własta. — Nastaje zima, spadają śniegi. Książę otoczony poufną łowiecką drużyną zapuszcza się w drzemiące, nieprzebyte onych czasów puszcze i przesuwając się niemi dostaje się aż do Wrocławia, zkąd wyciąga Własta na dalsze łowy. Zapędzeni samowtór za zwierzem, w dzikim ostępie zmuszeni są noc przepędzić. — Tu następuje owe żartobliwe odezwanie się księcia o żonie Własta i znana jego odpowiedź.

Chmurny wraca książę na zamek krakowski; nieprzemawia do sług i żony; nalegany wyjawia straszny przeciw niej zarzut. — Agnieszka poprzysięga zemstę, żąda od męża głowy oszczercy, wysyła Dobka z drużyną siepaczy dla porwania Własta; lecz niepewna skutku pociąga za sobą męża do Wrocławia, gdzie poprzednio już Dobek zdradą pochwycił palatyna i w więzieniu zamkowem osadził. — Władysław zezwala na wyłupienie ócz i urwanie języka. — Tu następuje przerażająca scena wykonania wyroku i jednocześnie niezmiernie zręczne ze strony autora wywinięcie się z legendowego cudu o odzyskanym wzroku i mowie. Gdy Dobek nieznajdując wśród swych ludzi nikogo ktoby chciał targnąć się na dobrodzieja ludu i ulubieńca duchowieństwa, przez kraty więzienne okazuje się ohydna postać, skazanego na śmierć za zabicie brata, dawnego stróża miejskiego, który woła na Dobka iż wypełni jego rozkaz, jeżeli wolność i życie w nagrodę otrzyma. Wypuszczony z więzienia by zastąpić kata, za zbliżeniem się do Własta, szepce mu do ucha iżby spokojnym był, gdyż go ocalić chce, i rzeczywiście kaleczy mu srodze język i powieki, a strugi krwi co twarz starca oblały, zakrywając prawdę, zdziałały tyle, iż w pierwszej chwili zamięszania, Dobek zaniechał powtórnie za kratą Petrka osadzić, tak iż zdołał oddalić się z oczekującym nań Jaksą, w nietykalne onych czasów schronienie, na dwór biskupa Janika. — Daremne zapędy gniewu Agnieszki pragnącej cały ród palatyna wytępić; rozkochany w Błogosławie Jaksa, pomimo niebezpieczeństw mnogich, schrania go w Płocku, gdzie cała starszyzna wraz z młodszymi książęty nad wspólną naradzali się obroną. — Tymczasem, szczególném zrządzeniem Opatrzności, która zwykle nad każdą powieścią czuwać musi, Marja Włastowa z Błogosławą, przez księży wysłane są na bezpieczny zamek Miechowsk,i gdzie sędziwa matrona, matka Jaksy otacza je swą opieką. — Tu miłość wzajemna dwojga młodych ludzi dojrzewa i kończy się, po pogromie ks. Właoysława pod Poznaniem, małżeństwem któremu stary Włast przez wdzięczność błogosławi.

Cały obraz pełen powietrza, barwy i życia; stosunek i miara działania osób w rozwoju powieści, w ogólności wzorowo zachowana, tak iż zgodzić się nawet można z rolą sławnego w one czasy *„Zaprzańca,“* którego postać, acz piękna, jednak nieco jakby tylko dla ozdoby, akcesoryjnie umieszczona. — Inaczej także wyobrażać można sobie osobistość Piotra Własta: — przy pierwszem spotkaniu u Janika, autor maluje go nader zamaszyście, — człek obcy, zdawać by się mogło, który do takiego urosł znaczenia i potęgi, był zapewne nie tyle porywczy ile przebiegły i wytrwały; ale też niekoniecznie dygnitarz i wojak XII w. ma być do teraźniejszych dyplomatow podobny. — Za to później, wszędzie a zwłaszcza w więzieniu, przepysznie, niezrównanie oddana żelazna wytrwałość, prostota obyczajów i wzniosła rezygnacja bohatera powieści. Nieporadność i chwiejność Władysława, zemsta i chciwość zaborcza niemkini, zaciekłość Dobka, gnuśny egoizm rusinki — żony Własta, powaga duchowieństwa, młodzieńczy zapał Jaksy i niewinna prostota młodziuchnej Błogosławy obok surowego oblicza rycerskiej matrony — matki Jaksowej, — wszystko spływa się w jednę udatną, harmonijną całość. Aby nic niepominąć, dodać należy iż utwor ten, autor poświęcił potomkowi bohatera powieści:

„Stanisławowi Duninowi, lepszych czasów towarzyszowi miłemu.“—

S. T. D.

Bibliografia Kościuszki.

Zbiera E. Callier.

(Ciąg dalszy.)

— Odezwa dla Obywateli mieszkańcow m. Warszawa, d. w Obozie pod Połańcem dn. 8 maja 1794, ogłoszoną drukiem przez Radę zastępczą, — znajduje się także u Nabielaka, Tom V., str. 38—40.

— Organizacya Rady Najwyższéj Narodowéj doczesnéj dla, Polski i Litwy. Dan w Obozie pod Połańcem dnia 10 maja 1794 — wydana na osobnym arkuszu, znajduje się u Nabielaka, Tom VI., str. 12—21 i w przytoczonym przezeń Opisie władz Narodowych, str. 24—47; a w przekładzie francuzkim w Zajączka Histoire de la Révol. str. 265—271

— Odezwa do Obywatelów Brzeskich i Kobrzyńskich, z dnia 15 maja 1794, w obozie pod Połańcem, — u Nabielaka „z oryginału będącego w posiadaniu Bronisława Zaleskiego“, Tom V. str, 40—2.

— Rozkaz, dany generałowi Straszowi, w obozie pod Połańcem, dnia 16 maja r. 1794, — u Nabielaka „z oryginału ofiarowanego do Muzeum w Rapperswyl“. Tom V., str. 42—4.

— Odezwa do Obywatelów Polski i Litwy z okazyi ustanowienia Rady najwyższéj Narodowéj, z dnia 21 Maja r. 1794, w obozie pod Sieczkowem, znajduje się także — u Nabielaka, VI., str. 22—5, a w przekładzie francuzkim w Zajączka Hist. de la Révol. de Pologne, str. 262—4

— Rezolucya na Raport Komisyi Porządkowéj województwa Brzeskiego, z dnia 25 maja 1794, w obozie pod Wodzisławiem, — u Nabielaka, Tom VI., str. 31—2 „z oryginału będącego w posiadaniu Bronisława Zaleskiego.“

— Odezwa do Litwinów i do Komisyi Porządkowych W. X. Litewskiego, z dnia 2 Czerwca 1794, w obozie pod Krzęcicami, — u Nabielaka, Tom VI., str. 37—40.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ŁAMIGŁÓWKI.

1.

Jest rzecz niby mięsna, służy do jedzenia;
Będzie rzecz czerwona bez przedniego brzmienia.

2.

Weź rzecz z płótna, dodaj z przodu głoskę,
Będziesz miał rzecz, która zdobi wioskę.

Redaktor i nakładca Józef Chociszewski w Poznaniu — Czcionkami H. Schmaedickiego w Poznaniu.